



GIERZ. N. MIANOWSKA



Pod Żbikiem

PARADA

ROK III

NIEDZIELA, 8 KWIECIEŃ 1945 R.
SUNDAY, APRIL 8, 1945

Nr 8 (52)

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mls., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 6 d., w Afryce Wsch. 6 d., w Włoszech 12 lirów



WIELKANOC 1945



Wielki kościół na Wileńszczyźnie

Kościołek drewniany we wschodniej Małopolsce



Wiosna w Tatrach

Wiosenna orka



DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE

ROK III

PARADA

NIEDZIELA, 8 KWIECZNIA 1945

FORTNIGHTLY REVIEW OF
THE POLISH ARMY IN THE EAST

№ 8 (52)



Po swej nominacji na Naczelnego Wodza General Dowódca Władysław Anders odwiedził żołnierzy 2 Korpusu, którzy zapewnili, że w ciepłych chwilkach będzie zawsze z nimi. Wysłuchawszy Naczelnego Wodza w dywizjach Karpackiej i Kresowej nie towarzyszyli delidali, ani oficjalne pozowanie — General spotkał się z żołnierzami przy ich sekcjach i w kwatery, rozmawiał z nimi jak ze swoją najbliższą rodziną. Zebrałym dookoła żołnierzom General opowiadał o Polakach walczących na innych frontach, przypominając prawdę, że wojnę wygrawa tylko ten, kto do ostatka nie wątpi w zwycięstwo. „Wojna z Niemcami jeszcze się nie skończyła — mówił Naczelnny Wódz. — My walczymy dalej, zgodnie z honorem i naszą przysięgą żołnierską, pod hasłami: Bóg, Honor i Ojczyzna. Mimo ciepłych chwilk patrząc z ufnością w przyszłość, bo wiemy, iż świat zaczyna rozumieć, że jeśli na świecie nie zapanują te ideały, o które walczymy, — jeśli nie będzie respektu uczciwości i honoru, ale siła będzie panować nad prawem, to nie będzie pokoju na świecie”.

Żołnierze nie tylko słuchali ale i mówili o sobie, o swych przeżyciach na drodze do Polski. Wierzą w Sprawę, o którą walczą, i w swego Wodza, który ich prowadzi.

Naczelnego Wodza Generała Dywizji Wł. Andersa na lotnisku w Rzymie witali J. E. ks. Biskup Polowy Gawlina oraz wyślij oficerowie polscy i brytyjscy

PLUTON AKTORÓW I JEDEN WIDZ

REPORTAŻ WŁASNY „PARADY” — TADEUSZ PNIEWSKI

Krzywe, nagie o białej korze drzewa prowadzą bystrą rzeczkę — zielony, aż szmaragdowy warkocz wiję się w parowie, nad którym idylla pokojowa dnia przedwiosennego położyła się pierwszą zielenią i ciepłym błękitem nieba, a wojna — stalowym mostem Bailey'a. Na tyścinie stoku ciągnące ku górze woły zostawiają za sobą czarną brudę zoranej ziemi, gruzi rozwalonego na pół domku porastają zielkiem, bawiącymi się dziećmi i zapomnieniem tego, co przewaliło się tędy na północ, a ku czemu teraz jedziemy — rwąc jeepem po wspaniałej szosie — nadmorskiej szesnaste — skacząc przez niezliczone Bailey-bridge, śladem wojny, coraz wyraźniejszym i mniej zapomnianym...

Za nagłych zakrętów, rozbitych kapliczek i innych wybranych kiedyś starannie zasadzek wyskakuje czółg niemiecki już nie groźny, pokryty rdzą czasu i lekcewa-

żenia, drogową śmierci, wskazujący kierunek frontu. Wskazują go również nie kończące się czerepy zagrod i ruiny miasteczek, które w tej wojnie jak nigdy przedtem, stanowiły najlepsze punkty oporu. Na szlaku walk pokaleczony lub śmiertelnie rozwalony jest każdy dom — godziny, minuty zniszczenia czekają na lata odbudowy.

Pod Forli z kościoła przydrożnego pozostała tylko jedna ściana i ołtarz, niemal nienaruszony. Jedynym nabożeństwem, jakie się tutaj odbywa, jest modlitwa przechodniów, kłęczących na gruzach, pod gotym niebem, niemal na szosie.

Gęstość mijających się kolumn i posterunków żandarmerii drogowej zwiększa się, im bliżej Faenzy — ostatniego na polskim odcinku miasta — przyfrontowego. Tutaj nie ma ani jednego całego domu, sama Faenza jest też mocno rozbita wal-

kami ulicznymi i najświeższymi „poprawkami”, jakie ciągle jeszcze wnosi artyleria niemiecka.

Z Faenzy prowadzi nas częsty znak orientacyjny choinki karpackiej, nie znikający i wtedy, kiedy skręcamy z szosy na polną drogę, która gruntownie w błocie zimowym wyjeżdżona, pełna jest wybojów i grudy. Przy skróceniu tablicy kierunkowej: „Do frontu” — trzeba zdjąć szybę i w pokrowcu położyć na masce łazika. Dlaczego? Wyjaśniają to kilkadziesiąt metrów dalej inne tablice: „Droga pod obserwacją nieprzyjaciela” — „Nie zatrzymuj się”.

Nie zatrzymujemy się, zjeżdżając z ostrego stoku ku zamykającym horyzont wzgórzom, które łatwo zdobyte łazikiem dają nam jeszcze jedną górską niespodziankę: kręta dolina osłonięta jest tylko częściowo pasmem wzgórz, reszta pozwała na wgląd w bielejące domkami

Castel Bolognese, zajęte przez Niemców. Trzeba znowu zjechać, a potem dojść ścieżką do punktu obserwacyjnego 157. Jedziemy wolno trudną drogą — gdzieś ktoś na nas patrzy, Niemcy mają nas, jak na dłoni... Ale cisza jest zupełna, nie warto im, zwłaszcza, że w ostatnim czasie bardzo oszczędzają pocisków.

Nie ma nieprzerwanej linii frontu. W zagrodach i dogodnie położonych ziemiankach są pozycje polskie i niemieckie, które tutaj, nad przedzielającą obie strony rzeką Senio, należą częściowo do ziemi niczyjej. Domki po stokach, jak zęby spróchniałe, zięją dziurami, nie ma całego, w zagrodach, ani w ludziach, z których mimo spokojnego odcinka coraz to ktoś ubywa, ani w porętej ziemi, szarpanej ciągle na nowo pociskami nebelwerterów (sześć sprężonych moździerzy). Spokój tej doliny i panujących nad nią wzgórz, naszych i niemieckich, jest po-



NASZA OKEADKA



W numerze:
JAK POMAGAŁA NAM ARMIA KRAJOWA — Alan McGregor
LITERATURA 2 KORPUSU — Jan Bielawicz
POEZJA KRAJU — Jan Olechowski
„KAZIUK” W APENINACH — Janusz Wedow

„Pod Żbikiem”
 Fot. K. Hrypkowicz



Polskie ppanc

zorny — pełen napięcia minionych walk i codziennej, cichej czujności, wypadów, które wyczuć teraz można z bezruchu na odsłoniętym talerzu doliny, z tego czajenia się na zbliżający się zmrok. Pamięć cisza, z której korzystać można, ale w którą wierzyć nie wolno, jak ufać nie trzeba nęcącej łączce, zabarwionej kwiatami przedwiosna, ani ścieżkom nieznanym — nie wszystkie miny zostały wykryte, na głębokich nawet tyłach wylatuje się jeszcze w powietrze. W tej ciszy rządzi słońce, przed kilku minutami i teraz, i może jeszcze kilka minut... Na podwórzu chałupy, z której zabiera nas żołnierz-przewodnik, rozwija się jakieś gospodarskie życie polskich panów tej kwatery... Okazja życia, jeszcze jedna. Pod rzekę Senio, niemal pod nos Niemców podprowadza ochronny, zabezpieczający przed obserwacją nieprzyjaciela stok. Kręta ścieżka mija zamaskowane drzewami ppanc i jamy, w których oto-



Głęboki wgląd z punktu obserwacyjnego



Wodospad górskiej rzeki

czony kęglami pocisków siedzi chłopak z moździerzem. Na słonecznym zbocz opalają się żołnierze, tuż obok lejów po niemieckich moździerzach, to porcja z ostatniej nocy, przeznaczona dla dowożonego tędy zaopatrzenia. Przeskoczyć trzeba zwalone drzewo... Trzaska pod nogą gałąź. Jak echem odzywa się daleko, wybuch, jeden, drugi — i znacznie bliżej jeszcze kilka... Plask, plask — kłapocą grają w powietrzu pociski polskiej artylerii, są gdzieś nad nami i giną po tamtej stronie Senio. I od nich ktoś ginie. Zastona ciszy pęka z pierwszym wybuchem: krajobraz, bolesnym wspomnieniem jakby z Polski wyrwany, przestaje być łąką, lasem i wiosną, jest już terenem obserwacji i działania, sumą pozycji... Już nie słońce tu panuje. Z domku, otoczonego rozwalonym obojętnym gospodarskim, panuje się nie tylko nad leżącymi w dole stanowiskami niemieckimi, ale i nad naszymi działami, daleko na tyłach położonymi. Tamta, ich stronę widać doskonale gołym okiem. Lornetą obserwacyjną biorę pozycje nieprzyjacielskie wprost w ręce: każde drzewo, załomy mur, drogi i ścieżki, teraz martwe i wymiecione. P. o. 157 ma głęboki wgląd w życie niemieckie i dobrze się stara najbardziej je uprzykrzyć. Mamy więcej pocisków, nasza „Kriegswirtschaft” nie wymaga oszczędności. Mam szczęście. Ciszę południa przewała właśnie ten punkt obserwacyjny. Najpierw haubicami 95 mm, potem moździerzami. Śladami nisko przed wielką lornetą. Na ekranie, na tym moim ekranie rzeki Senio, widzę białe domki Casa Nuova, miasteczko Bolognese, w którym Niemcom jest zawsze bardzo gorąco z naszej winy i zasługi, kościółek postrzelany i kapliczkę jeszcze całą... — Uwaga na domek. Na domek wśród drzew, obok dwóch stogów... Uważam... Porucznik od haubic dyktuje swoje dane w telefon — sekundy... Bury ślup ziemi tryska na lewo od domku, drugi ognisty ze stogu, na prawo, trzeci znacznie z przodu, za krótko. — ...na lewo — słyszę za mną. Przede mną taśma obrazu rozwija się dalej. Dym, kurz wyrasta nagle z domku, raz jeszcze i jeszcze... Trafiony! W sam środek! Tak strzelają polskie haubice. Tak rozwała się domy. Tak giną Niemcy. Dziwnie zimno patrzy się na to z tak bliskiej odległości, na strychu rąbnętym jeszcze wczoraj przez niemiecką stopiątkę, w odwecie za zbytnią dokuczliwość p. o. Daleko obojętniej, niż w wygodnym fotelu dalekiego kina.

Pociski nie tylko przelatują nad punktem obserwacyjnym. Gruzi na podwórzu, kilka celnych dziur w samym domu, i ścięte z nóg drzewa w samym niemieckim, którego przybywa niemal co noc. Wypadki nieprzyjacielskie zmuszają do nieustannej czujności pluton załogi, która jeszcze bliżej Niemców, nad Senio ma swe podsłuchy, a dalej w tyłach wsparcie ogniowe, dysponujące nawalami, na jakie nieprzyjaciela już dzisiaj nie stać.

Południe: haubice mają dosyć. Ale ciszy już więcej nie będzie. Powietrze aż drży od wybuchów, to lotnictwo sojusznicze okłada ciężkimi bombami obiekty niemieckie za linią frontu. Jeszcze jeden spektakl, jakiego po naszej stronie już się nie odczuwa.

Wskazuję ręką kierunek, skąd docho- dzą detonacje...

— O! bawią się w wojna — śpiewnym kresowym akcentem dorzucą chłopiec, siedzący na przybicie chałupy. — Im teraz, a nie nami! Im...

Jak dotychczas p. o. 157 ma szczęście. Nie ma strat, a tylko same zyski. Zyskiem jest grzanie, jakie dzięki niemu dostaje się Niemcom, są dezertery, ostatnio coraz częściej przeciekający na naszą stronę, zyskiem są wreszcie i krowy, ściągane od Niemców. Obiad, zjedzony w tej chłopkiej izbie włoskiej z żołnierzami polskimi, ma swój ciężar gantkowy i smak: konserwy angielskie, mięso zdobyte na Niemcach, przyrządzenie polskie. Pod pałapem wiszą kiełbasy, zapas na święta.

Aktorzy sceny wojennej nad Senio, tego teatru, w którym ja jestem widzem, zebrali się, jakby wyszli z kart „Popiołów”: Gajkosie — młodzieńcy weterani niemal wszystkich kampanii i obywateli z Rosji i Francji, Norwegii i Cas- sino, ci z piasków mazowieckich i kaszubskich. Nie wiele, a może już nie ich nie dziwi, po obozach głębokiej Rosji, po bitwie stalingradzkiej i piekle ognia w Normandii, po kaźni Oświęcimia, z którego cudem wyszedł ten młodzik, wycinający tu teraz, z drzewa włoskiego, jakąś wtkę, czy laseczkę.

Chłopiec, który z dębowego ogromnego kredensu, pamiętającego lepsze czasy, wyciąga „Paradę” i uśmiecha się do dziewczynki na okładce, jeszcze przed ośmiu miesiącami był w Gdyni i Gdań-

Włoski krajobraz wojenny

sku, inny w kopalniach śląskich pracował, a teraz pięści zaciska, opowiadając, jak żonę mu Niemcy bili po twarzy za to, że publicznie polskim językiem mówił.

„W makach byliśmy — mówi dwóch strzelców, — w kompanii krakowskiej, pod oficerem Głowackim”. Tę służbę w „makach” francuskich wspomina się chętnie i dobrze.

Spotkania na tym punkcie obserwacyjnym 157 mieszczą się w całości niedoli

i krzywdy polskiej, ziem i miast Polski, w postawie także, jaka łączy nas wszystkich. Mieszczą się też w odległości, dzielącej nas wciąż jeszcze od Kraju, od spełnienia tych samych ciężkich pragnień. Z nad Senio daleko, bardzo daleko jest do Kraju, w wymiarze geograficznym — jakże jednak blisko, jak blisko w skali uczuć i marzeń... Pójść tylko za białą taśmą, gwarantując bezpieczeństwo ścieżki, pójść kilkaset i pojechać jeszcze kilkaset metrów, a wjedziemy na drogę nazwaną

wymownie „Wotyń”. Inna droga nosi tablicę „Prypeć” — tędy dojdzie się do rozstaju, zorientowanego nazwą „Roz- widlenie Żółkiew — Równe”. Tu- taj trzeba wybrać właściwą drogę powrotu — „Od frontu”.

Nocą granatowe niebo zapala się dziwnymi wzorami błysków, powietrze nieale stłumiony pomruk. To gra polski odcinek „spokojnego frontu”. Nocna wersja wojennego widowiska i ja, widz zawodowy.

Nasze moździerze



BOHATERSKA SZKOŁA POLSKA W VILLARD-DE-LANS



W czasie przerwy ↑ Szkolna drużyna przed zawodami. Maj 1943



Vercors ma już we Francji swą głośną legendę. O tym płaskowyzu, stanowiącym część francuskiego Przedalpia, napisano od czasu wyzwolenia setki artykułów i reportaży oraz szereg broszur. Tutaj bowiem, w tych malowniczych, pokrytych gęstym lasem górach, na wysokości 800-1000 m, w miasteczkach i góralskich chutorach rozegrał się jeden z najbardziej bohaterskich epizodów francuskiego Maquis. Tutaj, korzystając z dogodnego terenu, francuski ruch oporu rozwijał się najintensywniej. Tutaj, począwszy już od 1943 roku, grupować się zaczęły pierwsze oddziały francuskiej armii podziemnej. I od tej chwili Vercors nie przestał już krwawić.

Wiosną 1944 roku nastąpił pierwszy atak represyjny w większym stylu. Wykonała go milicja wichystowska Darnand'a. Rozpoczęły się morderstwa, pod-

Najmłodsi...



magali im z poświęceniem całą niemal ludność Vercors'u. Lecz walka była nabyt nierówna. Stosunek liczebny Niemców do FFI przedstawiał się jak dziesięć do jednego, przewaga w sprzęcie była jeszcze większa. 24 lipca bitwa o Vercors była ukończona i Niemcy zostali panami sytuacji. Resztki rozbitych FFI rozproszyły się i ukryły w okolicznych lasach. Wtedy rozpoczęła się tragedia Vercors'u. Niemcy zemścili się straszliwie. Cały Vercors spłynął krwią. Rozstrzeliwano masowo, wieszano, torturowano. W miasteczku Vassieux, z 400 mieszkańców pozostało osiemnastu. Całe osiedla i liczne farmy zostały spalone. Wykrywano ludziom oczy, obcinano nosy i wieszano ich za ramiona lub za nogi. Wypadków takich było wiele. W grocie Loire, dokąd ewakuowano ze szpitala Saint-Martin rannych FFI, Niemcy zastrzelili na miejscu szesnastu bezwładnych partyzantów, a dwunastu pozostałych zabrali na ciężarówkach do Rousset, gdzie ich także zmasakrowali. Lekarze i siostry wywiezieni zostali w nieznanym kierunku i nie wiadomo, co się z nimi stało. Ciało jednego z lekarzy oraz ojca Jeźuity, który towarzyszył rannym, znalezione zostały w zbiorowym grobie, w Grenoble. Nie ma dziś w Vercors rodziny, która nie opłakiwałaby straty swych najbliższych.

To wszystko jest znane we Francji. O czym jednak nikt prawie nie wie, to o udziale Polaków w tej epopei Vercors'u. Nikt niemal nie słyszał o tym, że w Villard-de-Lans, w tym samym, w którym proklamowano IV Republikę francuską, istnieje od jesieni 1939 roku wielkie gimnazjum polskie, jedyne tego typu i o tym poziomie na kontynencie europejskim. I nikomu z Francuzów nieznana była bohaterska rola, jaką ta szkoła polska odegrała w vercorskiej epopei.

Byłem teraz w Villard-de-Lans i odwiedziłem tę szkołę. Liczy ona obecnie ponad 200 młodzieży płci obojga, 20 osób dyplomowanego personelu nauczycielskiego i ponad 20 osób służby i robotników. Mieści się w kilku wynajętych hotelach miejscowych, lekcje odbywają się w dwóch kawiarniach (brak innych lokali)... Poziom szkoły jest bardzo wysoki, matura jej są uznawane przez oświatowe władze francuskie, dając prawo wstępu na wyższe uczelnie Francji. Matur takich gimnazjum wydało dotychczas ponad 150.

Młodzież naszą posiada w Villard idealne warunki klimatyczne. Nie darmo miejscowość ta zwana była od dawna „dziecięcym rajem”. Położona na wysokości prawie 1000 m, otoczona pięknymi górami, zalana słońcem, ściagała zawsze wielką ilość dzieci francuskich, które uczyły się tam w licznych zakładach i pensjonatach. W roku 1939 przybyły tu jeszcze dzieci polskie. I wrosły już tak moc-

Villard-de-Lans — przy fontannie



Najstarsi...



Najstarsi...

no w rzeczywistość tamtejszą, że po prostu trudno byłoby sobie dziś wyobrazić Villard-de-Lans bez tych polskich dzieci.

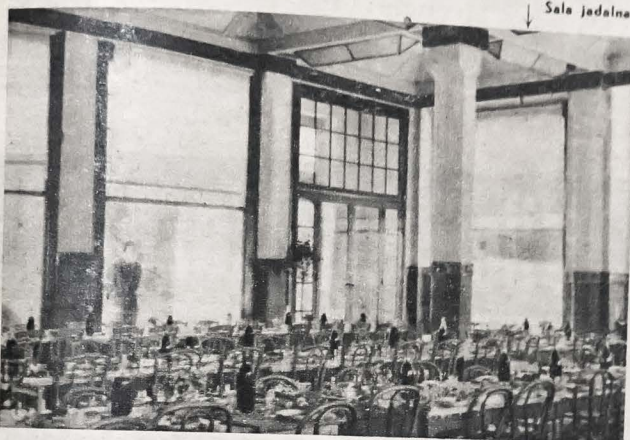
Odżywnie młodzieży jest nagość wystarczająca, a nawet, jak na obecne stosunki aprowizacyjne we Francji, doskonała. Bardzo pomocna jest dzierżawiona przez szkołę ferma, na której pracuje sama młodzież. Warunki mieszkaniowe są znośne: chłopcy i dziewczęta ulokowali się w oddzielnych hotelach, po 2-5 osób w pokoju. W internatach dla dziewcząt odczuwa się ciasnotę, gdyż napływ kandydatek do szkoły był w roku bieżącym niezwykle wielki i z ciężkim sercem odrzucić trzeba było cały szereg zapisów. Hamuje pracę szkoły dotkliwy brak podręczników i pomocy. Młodzież uczy się wprawdzie ze skryptów, opracowanych we własnym zakresie przez nauczycieli i powielonych. Nawet mapy ścienne, wśród nich i wielobarwne, wykonane zostały systemem samowystarczalnym przez studentów-Polaków z uniwersytetu w Grenoble.

Póki nie było we Francji południowej wojsk niemieckich, praca w szkole szła jako tako. Vichy czyniło wprawdzie trudności, ale ostatecznie można sobie było z nim dać radę. Z chwilą okupacji południa Francji sytuacja się pogorszyła. Niemcy usiłowali zniszczyć polską szkołę, czekali tylko na sposobność, by gimnazjum zamknąć. Ale kierownictwo i personel nauczycielski szkoły postępowali tak zręcznie i ostrożnie, że sposobność taka nie nadarzyła się nigdy.

Już na wiele czasu przed krwawymi wypadkami w Vercors, gimnazjum polskie zaznaczyło czynnie swój udział w walkach polskich o wyzwolenie. Ponad 50 starszych uczniów przeszło potajemnie Pireneje, by po nieprawdopodobnych przygodach dostać się do Anglii, gdzie wstąpili w szeregi naszej armii. Wielu dawnych wychowanków szkoły walczy obecnie w jednostkach dywizji generała Maczka, kilku już poległo.



Przerwa — palić wolno



Sala jadalna



Zbiórka na obiad



Villard-de-Lans — w śniegu

Kiedy zaczęła się vercorska epopeja, w gimnazjum zawrzało. Chłopcy rwali się do czynu. 11 czerwca 1944 r., a więc w kilka dni po rozpoczęciu inwazji, Niemcy przybyli do Villard-de-Lans. Wtrąnęli do szkoły i rozkazali dyrektorowi doktorowi Bergerowi, nauczycielom i uczniom wyjść na podwórze. Tam, pod strażą karabinów maszynowych, ustawiono ich w szeregi i oświadczone, że wszyscy uważani będą za zakładników. Wiadomo, co to znaczy...

W międzyczasie Gestapo przeprowadzało rewizję budynków szkolnych. Ponieważ nie znaleziono nic podejrzanego, zwolniono wkrótce nauczycieli i uczniów, zapowiadając im jednak, że jeśli przytrzymani zostaną jeszcze raz, śmierć ich nie minie.

Gdy wreszcie oddział niemiecki opuścił Villard-de-Lans, ludność miasteczka odczłonięła. W gimnazjum wszystko powróciło do normy, jednak nie na długo. Już 15 lipca Niemcy pokazali się znowu w Lans, o 6 km od Villard, i zaczęli tam przeprowadzać spis mężczyzn. Było to sygnałem alarmu dla szkoły polskiej. Dyrektor i nauczyciele postanowili nie czekać już tym razem na oprawców SS, lecz zabrać starszych uczniów i pójść w góry, by tam przyłączyć się do walczących FFI. Nazajutrz, wszyscy nauczyciele i inni pracownicy zakładu oraz chłopcy powyżej lat 16, razem dwudziestu siedmiu, zniknęli z Villard-de-Lans.

Po przyłączeniu się do FFI, 27 Polaków rozdzielonych zostało po poszczególnych oddziałach. Jedni otrzymali posterunki w Vassieux, inni w Saint-Martin, jeszcze inni w Saint-Agnan. Rozpoczęła się gwałtowna ofensywa dwóch dywizji niemieckich. Po silnym bombardowaniu lotniczym szybowce niemieckie wysadziły w różnych punktach Vercors'u oddziały Reichswehry. Wywiązały się ciężkie walki. Przewaga jednak Niemców była zbyt wielka, by opór mógł trwać długo. Cóż mógł zdziałać taki uczeń polskiego gimnazjum, HERNIK, ze swym karabinem maszynowym, lub kolega jego, SZUPERSKI, lub wreszcie bohaterski stolarz szkolny, WILK?... Cóż mogli zdziałać bohaterowie z francuskiego Maquis, walczący

gółami niemal rękami? Bitwa była z góry przegrana...

24 lipca bitwa o Vercors była ukończona. Niemcy odnieśli decydujące zwycięstwo. Cały Vercors spłynął krwią, szkoła zaś polska z Villard-de-Lans mogła dokonać wreszcie krwawego bilansu swej epopei. Z 27, którzy opuścili gimnazjum, 11 nie powróciło. Sześciu uczniów zginęło w walkach: Zglinicki (18 lat), Delingier (19 lat), Pawłowski (20 lat), Nowak (16 lat), Czarniecki (17 lat), i Łukomski (17 lat). Siódmy, HERNIK, ten sam, który obsługiwał karabin maszynowy,

dostał się do niewoli i został przez Niemców rozstrzelany. Podzielił jego los dwaj profesorowie, Harwas i Gerhardt, oraz lekarz zakładowy, dr Wellfe. Ujęci przez Niemców, rozstrzelani zostali w Lyonie na lotnisku. Zginął również stolarz szkolny, Wilk, odznaczony francuskim Krzyżem Wojennym za poprzednie walki w Vercors.

Dużo widać świeżych krzyży na małym cmentarzyku w Villard-de-Lans. Są skromne, drewniane, pomalowane na biało. Na tabliczkach wypisane są nazwiska

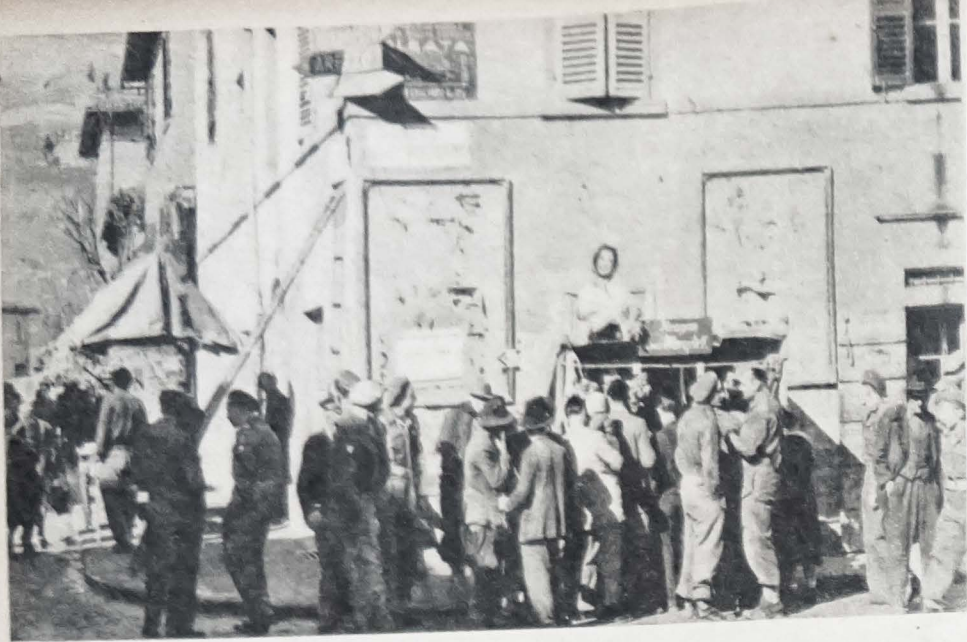
żołnierzy z FFI, poległych za Francję. Jest między nimi siedem krzyży, tworzących osobną grupę. Są one otoczone niewielkim ogrodzeniem z kamieni, pośrodku którego ułożony jest z kamyczków Orzeł Biały na czerwonym tle. Nad tabliczkami widać barwy francuskie, na dole zaś polskie. Na tabliczkach odczytać można nazwiska chłopców polskich, którzy ponieśli śmierć w walkach o Vercors. Najmłodszym z nich nie miał jeszcze szesnastu lat. Jak i koledzy, poległ za Polskę i Francję, za wspólną sprawę Wolności.

ROMAN FAJANS

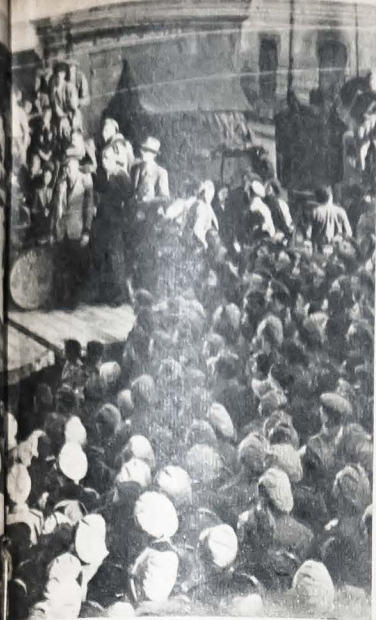
P. J. Stefanowicz prof. literatury polskiej w gronie uczniów—1943 r.



Villard-de-Lans — uliczka



Cyrkowe sztuki



Stragan „Kaziukowy”

Wileński „Kaziuk” w Apeninach

Korespondencja własna „PARADY” — JANUSZ WEDOW

Włochy, w marcu 1945 r.

Wyjechaliśmy z Kwatery Prasowej na „Kaziuka” całą ekspedycją. Jechał też Robert Kolvoord, amerykański filmowiec i korespondent wojenny. Ten długonogi, sympatyczny chłopak przed trzema miesiącami przyjechał z Nowego Jorku i jak dotąd nie chce nawet słyszeć o powrocie. Mówi, że jest mu u nas bardzo „okey”. Kręci kilometry filmowej taśmy, pcha się do pierwszych linii i lata „Kubusiem” nad niemieckimi pozycjami. Kiedy dowiedział się, że w jednym z małych apenińskich miasteczek Brygada Wileńska urządza tradycyjny „Kaziuka”, że będzie „to Polish country fair” — postanowił wybrać się z nami bez względu na dość daleką i fatalgą, wysokogórską drogę.

Dzień był pełen słońca i pachniał wczesną wiosną. Podobne dni były kiedyś i w Polsce w początkach marca. W górach, wysoko leżał świeży śnieg. Upadł w nocy i nasycił krajobraz bielą i srebrem.

Przy wejściu do miasteczka ogromny transparent, obramowany festonami z bibułek, zapraszał kolorowym furkotem na „Kaziukowy Kiermasz”. Miasteczko nie tylko zmieniło wygląd, ale i nazwę. Na tablicy, która poprzednio nosiła melodyjne włoskie słowo, czerniał teraz duży napis „WILNO”. To samo zresztą stało się z ulicami. Po „Nowej Pohlance” spacerowały gromadnie, trzymając się pod ręce, wystrójone czarnokie signoriny — wymalowane, roześmiane, zalotne. A z rynku, na którym uderzał w kamienie spieniony wodotrysk arcyjezkiej studni, strzeliły na trzy strony

świata, wprost w amfiteatr ogromnych Apeninów, ulice: Ostrobramska, Mickiewicza i Antokolska. Na „Placu Łukiskim”, wśród kolorowych, przybranych gałęziami sosen straganów, przelewał się tłum ludzi i gwar wesołych głosów. Przeważały oczywiście mundury. Dwa wozy dźwiękowe grzmiały melodiami oberków, polek i walcyków.

Kolvoord wytaszczył z wozu swoje aparaty i przygotowywał się do „kręcenia”, a ja tymczasem dałem nura w tłum, w stragany, w rozwirwane tanceznie melodie płyt, w gwar, śmiechy i nawoływania. Nigdy wprawdzie nie byłem w Wilnie, ale właśnie ten słynny na całą Polskę „Kaziuk” wyobrażałem sobie tylko w ten sposób. Był to wprawdzie mały fragment wileńskiego kiermaszu w dniu św. Kazimierza, ale fragment odwołany wernie i tylko ramy, w które został oprawiony — srebrzące się śniegiem grzbiety gór oraz pokierosowane artylerią domy małego miasteczka — były dziwnie medobrane dla obrazu, który migotał, płynął, porywał akcją, barwą i życiem w słońcu narastającej włoskiej wiosny. Zresztą organizatorzy tej wyjątkowej, jak na warunki frontowe nabrał rumieńców rzeczy wistości, byśnął kolorowym przypomnieniem wileńskich czasów i potrafił narzucić zaproszonym gościom wileński styl, wileński humor i atmosferę przedwojennych „Kaziuków”.

Odniosłem wrażenie, iż udało się im to w zupełności.

Kiedy wędrowałem, popychany przez fale ludzi, wokół straganów, obwiesz-

Signoriny zwiadały też „Kaziuka”



nych girlandami obwarzanków, obładowanych piramidami pierników serce, akcentem wygłaszanymi nawoływań i onych po cywilnemu przebrań, którzy z prawdziwą żołnierską Brygadą, królowali za stołami straganów, udzielił to kiermaszowi ten pulsujący wokół to było zaobserwować u wszystkich. Poskończywszy na poważnych szarżach.

Największym powodzeniem cieszył się ze zrozumiałych względów „Bar Ciotki Albinowej”. Ciotki wprawdzie w nim nie było, ale za to rumiany cywil, po którym poznać było od razu, że biały żołnierz i kolorowy krawat założył po raz pierwszy od 5 lat — sprzedawał Vermouth, marsala, moscato i inne gantki włoskich win, moscato i inne gantki napływające klienteli. Nieco dalej skupiały wojskowo-cywilny tłum „wędka” i „kolo szczęścia”. W chwili, gdy wepchnąłem się w ciżbę, na podwyższenie wskoczyła jakaś rozbawiona, zarumieniona z emocji ochotniczka w czarnym berecie. Z rozmachem zarzuciła wędkę i po chwili — w której tłum zniechęcony w ciekawości — wyciągnęła białą kartkę. Nim zdążyła jeszcze odczepić, ktoś usiłował przeczytać na cały głos: „Uważaj, abyś nie wpadła”. Gruchnął śmiech i oklaski. Dziewczyna — zacerwieniona okropnie — zeskokczyła szybko w tłum. Wędka znowu zakreśliła w powietrzu huk i zniknęła za rozwieszonym kocem.

Zbliżyłem się do przedsiębiorstwa kiermaszowego, które uwiesiło ogromnie obiecujący szyld: „Lira płacę, w mordę biję!”.

Zajrzałem do środka, ale wycofałem się momentalnie, pomimo uprzejmego zaproszenia. Stał tam dryblas o wyglądzie zawodowego boksera ciężkiej wagi i ramionach jak konary.

Między tłumem kręciło się kilku przybranych po cywilnemu rutynowanych wileńskich cwaniaków, ze składanymi stolikami do gry w „trzy karty”. W odpowiednim momencie stolik wraz z właścicielem nagle zniknął, by wypłynąć gdzieś dalej i przyciszyć gwar przeraźliwym okrzykiem „Tylko tu się wygrywa, albo przegrywa — jedyna okazja!”.

Z „Baru Ciotki Albinowej” wyszedłem ogarnięty szczerym entuzjazmem dla „Kaziuka” i jego tradycji. Wokoło kiermasz nabrzmiewał tłumem, gwarem i śpiewem. Całe miasteczko wyglądało na rynek. Dzieci były w siódmym niebie i kłowały wśród straganów nieprzytomne ze szczęścia i ośnienia. Starsi, szanowni obywatele miasteczka gapili się na to wszystko, jakby nagle spadli z księżycy w miejsce, które przypominało im nieco rodzinną miejscowość. Ale stopniowo porwał ich tłum, zmieszal, ponosił między stragany.

Jak dawno to miasteczko wrosło w góry, jak długo żyło swym cichym życiem, — amfiteatr Apeninów nie oglądał czegoś podobnego. Na to potrzebni byli dopiero Polacy. „Kaziukowy Kiermasz” w Apeninach był kiermaszem z prawdziwego zdarzenia. Z prawdziwie polskim temperamentem, zwyczajami i tradycjami. Kolvoord był trochę tym wszystkim oszołomiony, ale łapał w obiektyw, co się dało. Wiele charakterystycznych scen ujrzał niedługo amerykańskie ekrany. Nie wiem, czy Ameryce to się spodoba. Nam i Włochom podobało się nadzwyczajnie!

Po obiedzie rozpoczął się program rozrywkowy, wozy dźwiękowe nadały specjalne audycje wileńskie, przeplatane muzyką i humorem. Później rozpoczął się „Cyrk Staniewskich”. Na estradzie, ponad głowami zwartego, olbrzymiego tłumy występowały cyrkowcy-żołnierze. Były tam i sztuki magiczne, i siłacz, i wiele innych atrakcji, które kiedyś stanowiły clou każdego szanującego się odpuścowego kiermaszu w Polsce. W przerwach grały na zmianę dwie orkiestry — nasza wojskowa i jazzowa włoska.

Przed wieczorem zaproszeni goście, wśród których był i Zastępca Dcy Korpusu, gen. Szyszko-Bohusz, gen. Sulik oraz cały szereg wyższych oficerów, zaczęli się powoli rozjeżdżać. Robertowi skończył się film — postanowiliśmy wracać.

Kiedy opuszczaliśmy „Wilno”, Kaziukowy kiermasz trwał jeszcze na dobre. Stragany wprawdzie dawno były już puste, ale w ulicach ciągle kipiał tłum, a w górach przycichały echa zawiadających oberków, melodyjnych kujawiaków i siarczystych mazurów.

Po wypitym u „Ciotki Albinowej” mocnym winie, na zakrętach serpentynu niebo tańczyło jeszcze więcej — błękitnie i szeroko. Wiozłem ze sobą pokazy naszyjnik złotych obwarzanków i piernikowe, lukrowane serce, pachnące i wcale nie gorsze od tych, które kiedyś były i jeszcze będą sprzedawane na „Kaziukowym Kiermaszu” w Wilnie.



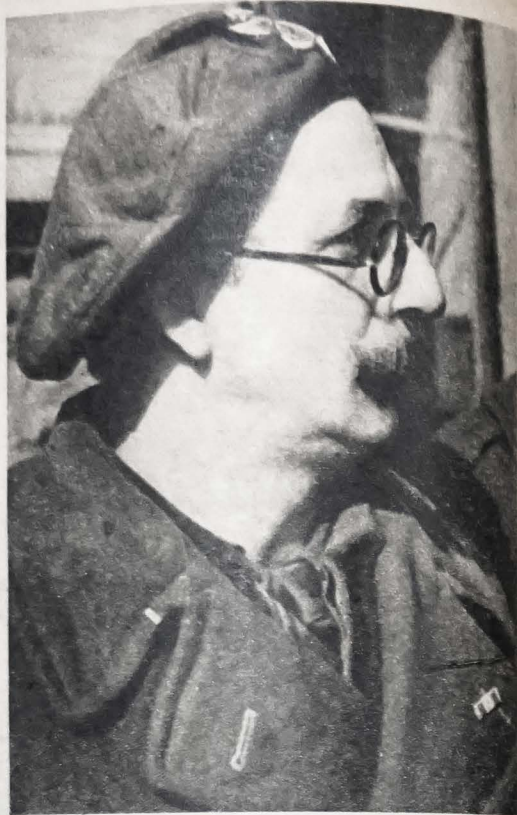
Rozmówka handlowa





Dowódca Karpaciej Gen. Düch dekoruje jednego z najmłodszych

Waleczni Karpaccy



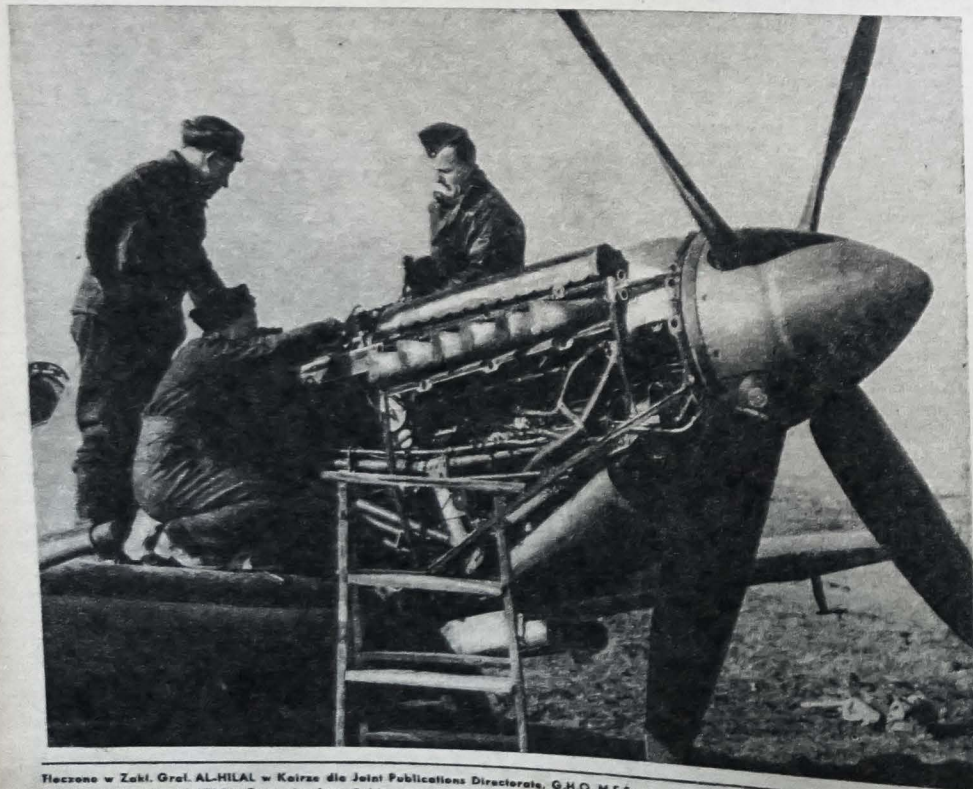
Stary saper tobrucki dekorowany w Italii



VIRTUTI MILITARI I KRZYŻE WALECZNYCH W KARPACKIEJ

Polskie skrzydła na włoskim niebie

Remont silnika



Fleczono w Zakł. Graf. AL-HILAL w Kairze dla Joint Publications Directorate, G.H.Q. M.E.F.
Printed in Egypt by AL-HILAL, Cairo, for Joint Publications Directorate, G.H.Q. M.E.F.

Na jednym z lotnisk bojowych położonych najbliżej linii frontu, na którym jeszcze niedawno rozrywały się pociski dalekonośnej artylerii niemieckiej, ma swoją bazę polski rozpoznawczo-myśliwski Dywizjon Gdański.

Są to nasi starzy, dobrzy znajomi z Palestyny i Egiptu. Kiedy koczowaliśmy jeszcze na afrykańskich piaskach, nad płóciennymi dachami naszych namiotów przelatywały codziennie ich Spitfire'y, wracające po ćwiczebnych lotach na pobliskie lotnisko. Żyliśmy po sąsiedzku i wieczorami oblewaliśmy szkocką whisky narastającą przyjaźnią.

Jeszcze w Palestynie lotnicy „odbili” nam obóz młodszych ochotniczek — całe gimnazjum plus liceum oraz szkołę ogólną. Dziewczęta potrafiły głowę wszechną. Z miejsca zrezygnowały ze swych dotychczasowych „naziemnych” sympatii. Niebieskie mundury zdobyły sobie w tym najmilszym obozie wojskowym honorowe obywatelstwo i wieczną przyjaźń.

Potem przyszedł wielki ćwiczenia bojowe — ostatni egzamin żołnierski Kor-

Str. 3: fot. F. Maliniak
Str. 3, 4, 5, 8 i 9: fot. K. Hrynkiwicz
Str. 10: fot. British Ministry of Information
Str. 14: fot. J. Fuks
Str. 14 i 15: fot. K. Hrynkiwicz
Str. 16: fot. British Ministry of Information

Układ graficzny:
JERZY MŁODNICKI



Ostatni rzut oka na mapę

pusi przed wymarszem na front. W tej wielkiej „wojnie”, która miała w sobie jakiś dreszcz rzeczywistości, Korpus jako armia zaatakowanych przez „wroga” Filistyńców, odniósł bezapelacyjne zwycięstwo. Dywizjon wówczas pomógł nam znakomicie do rozbicia „nieprzyjaciela”.

Niedługo potem spotkaliśmy się na prawdziwej wojnie, nad Adriatykiem. Podczas pościgu po „szesnastce” (nr szosy nadmorskiej), od Ortony aż po linię „Gotów”, w czasie bitwy o Ancone Dywizjon współdziałał z nacierającym Korpusem. A jak współdziałał i pracował, o tym świadczą specjalne podziękowanie Dowódcy 2 Korpusu gen. Andersa i pełne uznania słowa gen. Sosnowskiego, kiedy odwiedził Dywizjon nad Adriatykiem oraz powszechny szacunek, przyjaźń i uznanie, jakie otacza polski Dywizjon ze strony brytyjskich, południowo-afrykańskich i innych dywizjonów sojuszniczych.

Obecnie, na apenińskim odcinku, gdzie Korpus trzyma ciężkie, górskie stanowiska nad rzeką Senio, Dywizjon znowu pomaga nam z powietrza. Rozpoznaje nieprzyjacielskie stanowiska i ruchy na jego tyłach; fotografuje niemieckie obiekty obronne, które są później celem nalotów dla lekkich bombowców; wreszcie kieruje ogniem naszej ciężkiej artylerii na najwyższe zgrupowania celów z tamtej strony Senio.

Znak Dywizjonu



Nie jest to łatwa robota. Niemcy zgrupowali na tym odcinku stosunkowo dużą ilość ciężkiej artylerii przeciwlotniczej i każdy samolot, który przelatuje nad Senio, witany jest wściekłą zaporą ogniową. Obywa się nawet wściekłym „Kubusiom”, które przecież wiszą tylko nad linią frontu i prowadzą ogień artyleryjski.

Obecnie pogoda w Apeninach poprawiła się i nasiąknęła słońcem. Dywizjon ma pełne ręce roboty. Są dni, w których piloci latają po dwa, trzy razy. Nie obojędnie się oczywiście i bez tego, że po wykonaniu zadania robią na tyłach niemieckich solidną wojnę ze swych karabinów maszynowych i działek, wprowadzając zamieszanie w nieprzyjacielski transport i zaopatrzenie. Dostaje się przy tym i stanowiskom niemieckiej artylerii, i dowództwom, i nawet pojedynczym pojazdom. Nasi lubią strzelać, a strzelają dobrze i celnie.

Kiedy nad górami wisi błękitny i słoneczny dzień, kiedy nad Senio przewala się huk polskich dział, nad stanowiskami „Karpaciej” grają silniki polskich maszyn, lecących lotu wracających z rozpoznania. Mamy na włoskiej ziemi swoje wysunięte bojowe stanowiska na opadających w zniżę Lombardii zboczach Apenin i mamy nad sobą, na pogodnym włoskim niebie ostnę polskich skrzydeł.

Janusz W.



Naprawa skrzydła

Ładowanie amunicji





W w a l c e z V 1